

Jacek Bartosiak

W Polsce odbyły się wybory, a w tle wojny Izraela z Hamasem swoje przemówienie wygłosił prezydent USA Joe Biden, ogłaszając odważnie światu, że Amerykanie będą „arsenałem demokracji” i nie mają zamiaru rezygnować ze swojej strategii prymatu światowego pomimo widocznego gołym okiem nacisku Kontynentu na pozycję geostrategiczną USA. W kontekście pogarszającej się sytuacji międzynarodowej i coraz bardziej ciężącej na Polsce kwestii wojny o Eurazję powstaje (właściwie filozoficzne) pytanie, czy ludzie wiedzą, na co w zasadzie głosują oraz czym się w istocie kierują, głosując tak, a nie inaczej? Czy robią to, kierując się swoimi interesami (co nie jest powodem do wstydu), czy jedynie kierują się swoistym imaginariem, czyli wyobrażeniem, jak świat według nich powinien wyglądać? I która z opcji politycznych do tego świata ich zaprowadzi (to kolejne imaginariem, bo politycy nie robią tego, co ochoczo obiecywali przed wyborami; robią tylko to, co MUSZA, kiedy strukturalna rzeczywistość – już powyborcza – ich do tego zmusi).

To zawsze jest dobre pytanie: czym właściwie wyborcy się kierują i na co głosują w demokracji, i jak przystaje to do rzeczywistości, która nastaje, gdy ci, na których głosowali, zaczną rządzić? To odwieczny problem we wszystkich ustrojach, zwłaszcza w tych, gdzie ludzie zgodnie ze swoim sumieniem i w wolności mogą wybierać, kierując się osobistym zestawem wyobrażeń o otaczającej rzeczywistości i własnej w niej przyszłości.

Jeśli chodzi o jesienne wybory w Polsce w roku 2023, uważam, że zarówno wyborcy obozu rządzącego, jak i szeroko rozumianej opozycji zagłosowali na własne imaginaria, które już nie istnieją i nie mają szansy zaistnieć po wygranej któregośkolwiek z obozów politycznych. Swoją drogą od jakiegoś czasu być może zachodzi jakaś ogólna tendencja we współczesnym świecie, opanowanym przez media, w tym media społecznościowe, polegająca na tym, że pozostajemy przy swoich przekonaniach, nawet wbrew jasnym sygnałom ze świata fizycznego, że jest inaczej. Zamykamy się w swoich bańkach poznawczych czy też silosach koleżeńskich i branżowych. Tak jest również w kontekście pozycji geopolitycznej Polski i jej strategii, jak sobie radzić z własną przyszłością w bardzo niespokojnym świecie.

Wyborcy opozycji głosowali moim zdaniem na pewne wyobrażenie polityki bezpieczeństwa (partia dotychczas rządząca swoją postawą miała według nich jego realizację udaremnić lub obniżyć na nią szansę), wedle której Polska w Europie jest bezpieczna, Unia Europejska rozwija się konsekwentnie, a my tu nad Wisłą żyjemy w coraz większym komforcie, mamy coraz więcej pieniędzy, społeczna gospodarka rynkowa ma się jak najlepiej, gospodarka europejska jest zglobalizowana, a jej przepływy strategiczne ze światem i jej model eksportowy nie są zagrożone. Ponadto głębsza federalizacja i coraz większa bliskość instytucjonalna z Europą zabezpieczy nas przed wszystkimi niebezpieczeństwami i pomoże nam dalej reformować kraj podążający w nowoczesnym kierunku niczym w zdeteterminowanym pochodzie, który nie zatrzyma się nawet na chwilę; my po prostu możemy się na niego co najwyżej nie załapać... W tym wyimaginowanym świecie zachód Europy zasadniczo jest jednością ze Stanami Zjednoczonymi (zbieżność cywilizacji i wartości!), Amerykanie magicznie pozostają potęgą w Europie, dając jej parasol wojskowy pomimo jej federalizacji i brexitu oraz romansu z Chinami, a

europijski dobrobyt jest oczywiście niezagrożony. Wystarczy jedynie sięgnąć po niego ręką poprzez dostosowanie siebie i własnych metod funkcjonowania w kraju, a wówczas wszystko będzie dobrze.

Druga strona z kolei, wyborcy tych, którzy rządili nami przez jakiś czas, głosowała na imaginarium polegające na tym, że najlepszą metodą przeżycia obecnej złej pogody geopolitycznej jest państwo narodowe (oczywiście magicznie funkcjonujące najlepiej w ramach wolnego gospodarczo rynku europejskiego), a potęga Stanów Zjednoczonych jest niezachwiana pomimo rozcieńczenia zasobów i atencji strategicznej na rozliczne pożary w Eurazji. Stany Zjednoczone wygrały wszelkie te starcia (bo zawsze przecież wygrywały!), uczciwie nas potraktują jako sojusznika i nie zastosują żadnych strategii, które miałyby spowodować, że moglibyśmy się poczuć zagrożeni. Nasze państwo w tym imaginarium jest w stanie samodzielnie stanąć na nogi, przeprowadzić wielką reformę wojskową (przy tak niskim kapitale społecznym) i samodzielnie się unowocześnić. A przy okazji zbudować system energetyczny niezależny od Europy (zwłaszcza od Niemców) i oczywiście z Amerykanami (względnie Brytyjczykami, ale nie z niegodnymi zaufania Niemcami czy Francuzami) i wypchnąć Rosjan poza system europejski. W tym imaginarium nasze państwo stoi na granicy oceanu światowego na Bugu z sojuszniczą Ameryką (która przecież zawsze wygrywa!) i dzięki temu zajmiemy lepszą pozycję niż Niemcy w stosunkach z Amerykanami w ramach zwycięskiego Zachodu. Oczywiście po tym, jak Zachód wygra wojnę o świat (jakże to oczywiste, zawsze wygrywa, tylko ci Niemcy...).

Oba te imaginaria nie zaistnieją w realnym świecie. Ludzie czują, że fundamenty się zmieniają, ale instynktownie przywierają do znanych sobie klisz. Dlatego ważniejsze jest, jaki charakter będą mieli nowi przywódcy polscy, a nie jakie mieli programy i przekonania w kampanii wyborczej. Potrzeba nam przywódców z charakterem bardziej niż z programami, bo los będzie rzucał w twarz wyzwania niczym kamienie.

O ile dla świata urojone imaginaria polskich wyborców nie mają dużego znaczenia, o tyle urojone imaginarium, w którym porusza się prezydent Biden, już ma. Ogłaszając walkę o utrzymanie prymatu USA (zamiast nowego balansowania Eurazji z pozycji wciąż znacznej siły USA, ale już jako jednego z elementów balansujących system) oraz zapewniając o „Ameryce jako arsenale demokracji”, Biden licytuje się z losem.

Kardynał Richelieu mawiał ponoć, że cele, które się zakłada, muszą się pokrywać ze środkami, za pomocą których da się te cele osiągać. Inaczej bardzo szybko działanie zostanie przetestowane przez wrogów. Nie wolno składać deklaracji bez pokrycia, bo można sprowokować starcie. Nie wolno także przyjmować celów nie do zrealizowania, bo prędko zostanie to uznane za błąd i sprawdzone na warunkach sprawdzającego. Chińczycy czekają tylko na takie okazje, by testować Amerykę daleko od Ameryki i daleko od samych Chin.

Tak surowo oceniam przemówienie prezydenta USA. I to w sytuacji, gdy nie ma już jednobiegunowej chwili, nie ma szans na strategię prymatu USA wobec świata (wystarczy zobaczyć strukturę rosnącej masowo klasy średniej Chin, Indii, ASEAN i globalnego Południa), a Ameryka nie jest już niewyczerpanym „arsenałem demokracji”. Sojusz Rosji, Chin i Iranu jest – jak przyznał ostatnio nawet sam Elon Musk – wielką potęgą przemysłowo-surowcową.

Pytanie, kto tu jest arsenałem czego, jeśli chodzi o surowce i moce produkcyjne? Na pewno państwa Osi z II wojny światowej nie mogłyby się równać potęgą z Rosją, Chinami i Iranem (w

relacji do przeciwników oczywiście).

Rozziew między tym, jak Ameryka się sama postrzega, a tym, co może uczynić w świecie realnym, oraz tym, co o niej uważają inni i co ona może im zrobić, jest przepisem na nieszczęście i postępujący chaos geopolityczny, tym większy, im dalej od brzegów Ameryki Północnej.

Imaginarium wyborców w Polsce właściwie jest bez znaczenia, ale już złudzenia Joe Bidena mogą kosztować wielu drogo, w tym mogą drogo kosztować nas, położonych w uskoku geopolitycznym między oceanem światowym a kontynentem. Jak bardzo drogo, widać na Ukrainie.

dr Jacek Bartosiak, wydawca portalu Strategy&Future

<https://strategyandfuture.org/urojone-imaginaria/>